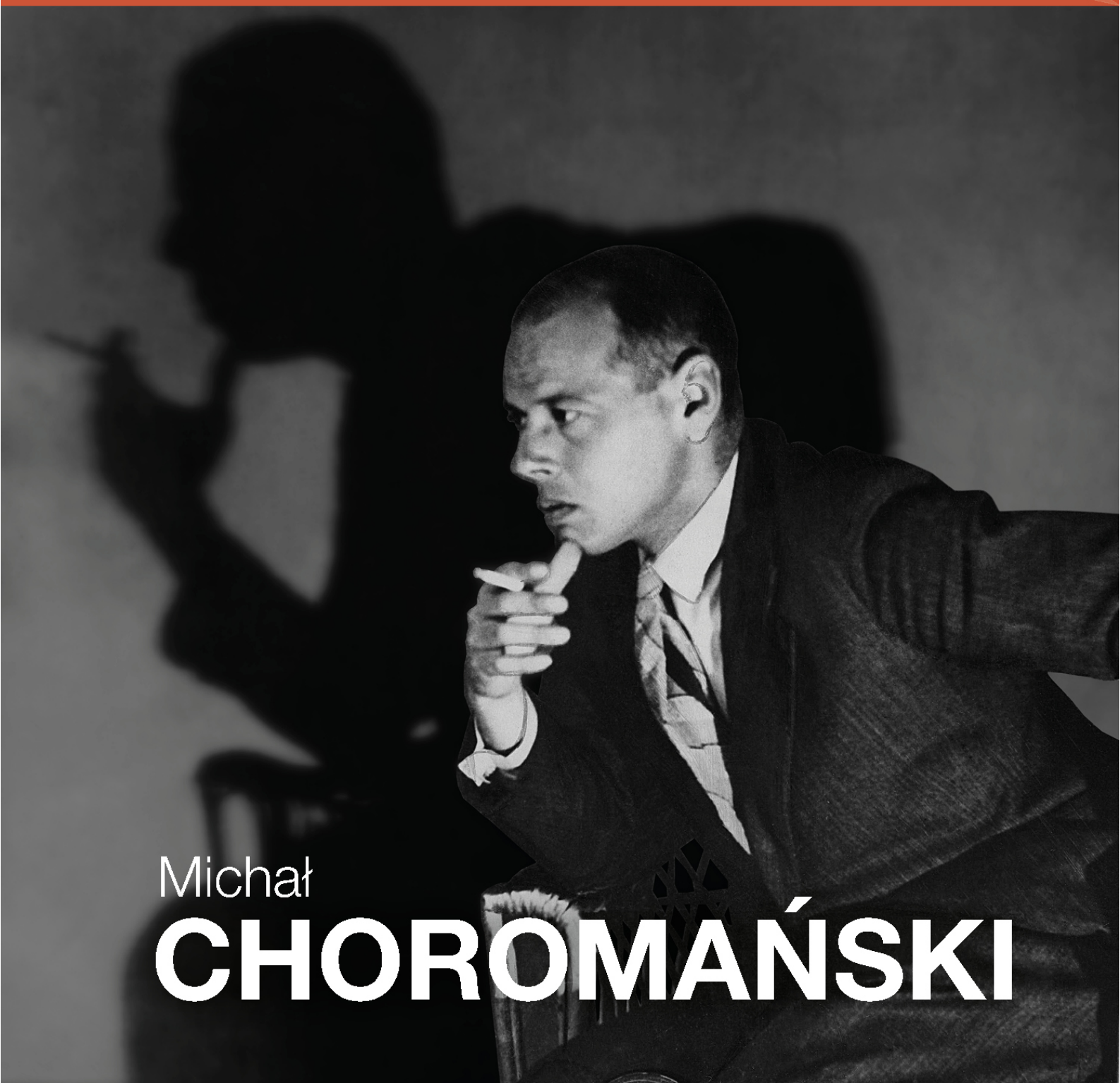


Memuary

Michał

CHOROMAŃSKI



Michał Choromański

MEMUARY

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-13-5

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1976

Projekt okładki: Marcin Labus

Fotografie ze zbiorów Michała Choromańskiego

Spis treści

Przystojny blondyn. Podслуchałem bardzo dziwną rozmowę

Lourdes. O mało nie zostałem mnichem

Dziesięć groszy. Stolarz-ekscentryk wyrzuca mnie na bruk

Otto Weininger. Grabarz-stroiciel i niebezpieczna pianistka

Wysięk

Zdarzenia bez pointy

O co tu szło?

Witkacy w Belwederze

Trochę o „orgiach” z Witkacym

Witkacy, człowiek skłonny do wybuchów gniewu

Witkacy

Siedem depesz

Zagadka. Z panną na cmentarzu. Mężczyzna z rewolwerem

Wybitni ludzie, których znałem. Monsieur Piston

V-2 (?)

Wywiad

Tour de France

Legitymacja Pen Clubu

O przeczuciach

Kto to był doktor Bexon? Lekcja języka angielskiego

Arrasy

Drobiazgi

FOTOGRAFIE

Przystojny blondyn. Podслуchałem bardzo dziwną rozmowę

W Zakopanem, na długo przed wojną, mieszkał pan Ambrożewicz. Bardzo wysokiego wzrostu, elegancki brunet, garbatonosy – odznaczał się konserwatywnymi zapatrywaniami. Mimo młodego wieku – z pewnością nie miał jeszcze czterdziestki – żył w przeszłości.

Czytał tylko klasyków i stroił się ze staroświecką wytwornością. Trochę się perfumował. Myślami przebywał w XIX wieku. Mimo to przyjaźnił się z Witkacym, którego poznał przeze mnie. Nie wiem, czy gdzieś zachowały się jego portrety w typie „C” i „E”. Witkacy widocznie go lubił, bo zawsze wypiększał.

Ambrożewicz miał kawerny w jednym płucu i bardzo żarłoczny gatunek gruźlicy, która w końcu go zmogła. Ale ze względów ideowych nie godził się na pneumotoraks, który z pewnością by go uratował.

Zastrzyki ze złota oraz pneumotoraks miały w sobie coś z nachalnego gwałtu i parweniuszostwa naszej epoki – tak sądził. Ambrożewicz marzył o kumysie, którego w Zakopanem, niestety, nie było. Postępowi lekarze zakopiańscy, stosujący nowoczesne środki, wydawali mu się podejrzani. – To francuska moda! – mawiał o odmie. I zaraz potem dodawał, cytując Czechowa: – Kto lubi francuską musztardę? Chyba tylko Francuzi!

Spośród lekarzy w Zakopanem wybrał jedynego, który odmy nie stosował. Był to staruszek, też stroniący od nowatorstwa, chociaż przebąkiwano, że czynił to nie bez praktycznego celu. Przygarniał w ten sposób do siebie tych wszystkich, którzy odmy się bali.

Ponoć nie stosował nawet zastrzyków wapna, co Ambrożewicza jeszcze bardziej do niego pociągało. – Co warte są zastrzyki – prychał. – Też francuski wynalazek! Nie ma jak dobry kompres i gorąca herbata z malinowym sokiem na poty.

Wyglądało to na żart. I w głębi duszy jestem przeświadczony, że trochę żartował. Ale żart ten kosztował go życie. Z drugiej strony przebywał nadal w XIX wieku i na swój sposób pozostał logiczny.

W XIX wieku ludzie byli szczęśliwsi i obchodzili się bez odmy. Gdyby ją zastosował, przeniósłby się do innej historycznej epoki, z którą nie bardzo chciał obcować. Taka niekonsekwencja zachwiałaby jego wewnętrznym spokojem, o który bardzo dbał. Bo był sybarytą i otrzymywał dość znaczną kwotę miesięcznie od swych rodziców, mieszkających stale w Rumunii. Żona jego była malarką i ilustrowała książki dla dzieci.

W wolnych chwilach, między wysiękami, Ambrożewicz napisał książkę, która nigdy się nie ukazała. Była to opowieść o nad wyraz niesympatycznym i bezwartościowym osobniku, zabitym na froncie w czasie wojny 1914 roku, w okolicznościach więcej niż podejrzanych. Coś tam było. Ni to prywatna bitka, ni to kara za przestępstwo. Ale los chciał, że kiedy po wojnie wzniesiono pomnik Nieznanego Żołnierza, umieszczono pod nim zwłoki właśnie tego bezwartościowego osobnika. Wszak taka omyłka teoretycznie byłaby możliwa, dowodził.

Jeśli obecnie twarz moja bardzo odpycha, w młodości – sam nie wiem dlaczego – bardzo pociągałem ludzi. Mam nieznośne uczucie, że à la longue sprawiłem im zawód. Muszę przełamać w sobie wstydliwą skromność, żeby opowiedzieć, jak to było z Ambrożewiczem. W jaki sposób go poznałem.

Mieszkaliśmy w tym samym zakopiańskim pensjonacie „Sanato”, przerobionym obecnie na sanatorium. Byłem jeszcze smarkaczem, aczkolwiek doświadczeniami swymi, jako suchotnik, mogłem zawodniczyć ze starszym pokoleniem. Chodziłem o kulach, ponieważ nogę miałem w gipsowych bandażach.

Było to zdaje się w 1926 roku, na parę miesięcy przed moim najgorszym okresem zakopiańskim. Okresem biedy i głodówki, kiedy musiałem przenieść się na Nowatorską do sutereny, mieszczącej się obok chlewika. Za przepierzeniem dzień i noc kwiliła świnia.

Ale mieszkając w „Sanato”, takiej przeszłości sobie nie przepowiadałem. W ogóle niczego sobie nie przepowiadałem, bo zawsze z natury byłem lekkomyślny i żyłem z dnia na dzień.

Owszem, myślałem sobie nieraz, że może napiszę powieść, ale były to bardzo mgliste chęci, i nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Młodzież obecna jest znacznie zaradniejsza. Słyszałem sam, jak pewien młodzieniec powiedział, że zamierza poświęcić się literaturze, bo to w naszych czasach najwięcej popłaca. – A co do talentu – dodał – to już rzecz drugorzędna. Inni mogą, to dlaczego ja nie?

Z początku trochę się zdenerwowałem. Ale po namyśle i przeczytaniu niektórych naszych powieści, musiałem przyznać mu rację. Zresztą znam wypadek, kiedy ktoś uległ poniekąd presji publicznej i też odnalazł w sobie powołanie do literatury pięknej, bo bardziej niż co innego mu to popłacało. O tym wypadku właśnie opowiadam.

Otóż w bawialni „Sanato” Ambrożewicz pierwszy, i ni stąd, ni zowąd, podszedł do mnie z wyciągniętą dłonią.

– Pan pozwoli, że się przedstawię – rzekł. – Pan jest powieściopisarzem? ,
Otworzyłem usta. Potem je zamknąłem.

– Ja? Skąd!

Usiadł obok. – Dziwne! – rzekł.

Musiało tu być jakieś nieporozumienie.

– Może jestem do kogoś podobny? – spytałem.

Zerknął błyszczącymi oczami tak dziwnie, że przez chwilę uczulem się przystojną kobietą, której wszyscy się przyglądają. „A może po prostu nie jestem ogolony?” pomyślałem i ręką dotknąłem policzka. Bo czymże w przeciwnym razie tłumaczył się jego podziw?

Wtedy stała się niepojęta rzecz, która z każdym rokiem wydaje mi się zabawniejsza – jeśli, ma się rozumieć, kpina z samego siebie może nas bawić. Słowo daję, że nie blaguję. Ambrożewicz popatrzył mi na czoło, potem na nos i wreszcie wyrzekł, co następuje:

– Dziwne. Wie pan, wkoło pana jest jakaś aura. Może pan nie jest powieściopisarzem, ale pan na pewno będzie wielkim powieściopisarzem w przyszłości!

O mało nie zsunąłem się z fotela, a kule poleciały na dywan. Czuję ogromne zażenowanie, kiedy o tym wspominam, i niech duch Ambrożego – bo tak go nazywał Witkacy – wybaczy mi zawód, który mu po latach sprawiłem. Pisałem już o tym, że miałem zawsze na twarzy coś z hochsztaplera. Nie tylko że pociągała do siebie, ale pełna była obietnic, których nie miałem zamiaru dotrzymać.

Dość na tym, że stąd wynikła moja przyjaźń z Ambrożewiczem, tym bardziej cenna, że dzieliły nas różne stopnie zamożności. Byłem na najniższym. Często ich odwiedzałem i chociaż potem w Zakopanem miałem gdzie mieszkać – nieraz spędzałem u Ambrożewiczów po kilka dni naraz. Mieli ładne mieszkanie i gościnny pokój.

I oto w czasie takiego pobytu u nich poznałem pana Tadeusza. Nie wiedziałem, kto to taki, bo gazet nie czytałem do trzydziestego roku życia, a polityką się nie zajmowałem. Było to w końcu jesieni. Spadł śnieg, i za oknami widać było zaśnieżone korony jarzębin niczym poduchy o białej podartej poszewce spod której wyzierały czerwone plamy wyspy.

Leżałem na kanapie w gościnnym pokoju. Drzwi do przedpokoju były otwarte, a do sąsiedniego gabinetu – uchylone. Po południu rozległ się dzwonek i widziałem, jak strząsając śnieg z palta wszedł do przedsionka młody i bardzo przystojny blondyn. Miał grecki typ urody: prosty nos zlewający się niemal z czołem. Ucałował się z Ambrożym z dubeltówki.

– Tadziku! – zawołał gospodarz i poklepując gościa po ramieniu, zaprowadził go do gabinetu. Po chwili rozległ się brzęk kieliszków.

Przez uchylone drzwi słyszałem wszystko, ale z początku nie słuchałem – nie tyle przez dyskrecję, co po prostu pochłonięty byłem lekturą. Czytałem Edgara Wallace'a, któremu wiele dobrego zawdzięczam. Dopiero gdy z gabinetu doszedł podniecony głos gościa,

mówiącego coś dziwnego o rękach i butach, nastawiłem ucha. Trudno było zrozumieć, o co szło, ale było to naprawdę bardzo dziwne.

– Ręce miałem ot tak! Patrz! A tuż przed twarzą te lakierowane buty – powtórzył głos gościa.

– Z cholewami? – spytał Ambrożewicz.

– Oczywiście!

– Mówiłeś, że krew?

– Uczułem coś ciepłego na twarzy i słodkawy smak pod językiem. Patrz! Tu były te buty. A ręce miałem o tak! Patrz!

Wstałem, kaszlnąłem i zająrzałem przez drzwi. Ale nie zwrócili na mnie uwagi. Zdębiałem.

To, co zobaczyłem w gabinecie, bardzo kontrastowało z antycznymi meblami Ambrożewicza, lubiącego XIX-wieczny komfort. Gospodarz siedział w fotelu i przechyłony naprzód – obserwował gościa klęczącego między kanapą a stolikiem. Urodziwa, nobliwa twarz Ambrożego wyrażała sensacyjne zaciekawienie, tak jak gdybym to nie ja przed chwilą czytał Edgara Wallace'a, ale on. Gość natomiast zgiął się wpół i trzymając ręce wykręczone do tyłu, policzkiem dotknął dywanu.

Był w szarym ubraniu i brązowych trzewikach. Więc o czyje buty z cholewami chodziło? Naraz ku memu zdumieniu rozprostował ramię i wałnął samego siebie w szczękę. Z jednej strony, z drugiej. Po czym wstał, żeby parokrotnie kopnąć nogą powietrze, niczym niewidzialną piłkę. Słyszałem, jak sapał. Co to wszystko oznaczało? Wróciłem na kanapę. Głosy były coraz bardziej ożywione.

– Tak jest! A więc rozumiesz? Wykręcono mi ręce do tyłu, a potem zaczęto kopać! – powtórzył głos gościa.

Ambrożewicz gwizdnął.

– Było to już w aucie?

– W czarnej limuzynie – odpowiedział gość.

– A kto otworzył drzwiczki?

– Ja sam.

Ambrożewicz znowu gwizdnął.

– Wciągnięto mnie do wnętrza za kołnierz – poskarżył się głos.

– A mówiłeś, że wokoło było pełno policji?

– Właśnie! Na rogu stał komisarz. To mnie od razu zastanowiło. Dlaczego taka wysoka szyszka stoi na miejscu posterunkowego?

– A czy było ciemno?

– Latarnie się świeciły, ale padał cień od drzew.

– Jak to było? Czy limuzyna zajęła przed ciebie?

– Z wolna sunęła mi naprzeciw i w pewnej chwili zatrzymała się. Pomyślałem – co tu robi o tej porze? Przecież znam wszystkich sąsiadów dokoła. Dlaczego miała wygaszone światła?

– I co?

– Instynkt dziennikarza! – odpowiedział głos nieco chełpliwie.

– Podpowiedział ci instynkt?

– Mam nosa! Pochyliłem się do otwartego okienka limuzyny, a stamtąd ktoś do mnie mówi: „Dobry wieczór panu!” Otworzyłem drzwiczki i widzę – czyjaś dłoń.

– I co?

– Uścisnąłem ją, psiakrew!

– Dlaczego psiakrew?

– Bo nie chciano mej ręki potem wypuścić. Trzymano jak w kleszczach. A ktoś inny wciągnął mnie za kołnierz.

– A wielu ich było?
– Dwóch na tylnym siedzeniu, dwóch z przodu.
Ambrożewicz roześmiał się.
– Sam otworzyłeś drzwiczki? – powtórzył.
– Sam! Dobrze ci się śmiać – odpowiedział głos z pewnym niezadowoleniem. –
Zmasakrowano mnie. Leżałem twarzą w dół na chodniczku pod ich butami.
Kieliszki zabrzęczały. Popatrzyłem ze zdziwieniem na rozwartą książkę – czy to był dalszy ciąg Wallace'a? O co szło?
– Michał! – zawołał Ambroży. – Chodź do nas!
W gabinecie przystojny blondyn siedział już w fotelu. Przywitał się i pomógł mi postawić kule na bok. Miał ładne zęby i przyjemny uśmiech. Ale wciąż był. trochę zasapany.
– Michał z pewnością napisze powieść – przedstawił mnie Ambroży.
– Ja też! – odpowiedział gość.
Popatrzyliśmy na siebie z zaciekawieniem.
– A skąd pan o tym wie? – spytałem.
– Po tym wszystkim mam dość dziennikarstwa. Nie opłaca się! Zostanę powieściopisarzem. To mnie ciągnie.
W ten sposób poznałem przyszłego autora „Znachora” i „Pamiętników pani Hanki”. Był to przemiły kompan i później kiedyś w Bristolu pokazywał mi ludzi, którzy go bili.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI